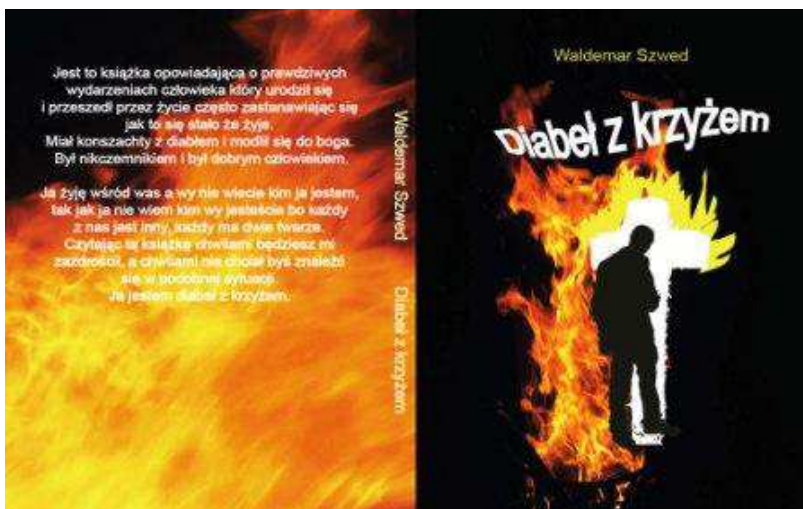


© Copyright by Diabeł z krzyżem



# Diabeł z krzyżem

Wszystko się zaczęło na Śląsku, a właściwie w średniej wielkości miasteczku Czeladź, które granczyło ze Śląskiem, była tam rzeka Brynica, która to właśnie oddzielała zagłębie od śląska. Miałem wtedy lekko ponad 4 lata mieszkaliśmy w starym dwu piętrowym bloku, pełno takich na Śląsku. Dwa piętra, stromy dach z szarej brudnej od pyłów dachówki, dwie klatki schodowe, poszarzały chropowaty ciemny tynk. Od takich bloków wiało chłodem i wilgocią, a na klatce schodowej czuć było zawsze specyficzny brzydki zapach lizolu do dziś go pamiętam, to był taki środek chemiczny do dezynfekcji. Była zima, przebudziło mnie zapalone światło i jakiś hałas głośnej rozmowy. Mój tata leżał na skraju dwu osobowego starego dużego łóżka zwisając głową i podpierając się jedną ręką o podłogę wymiotował do małej białej blaszanej miedniczki, którą podtrzymywała moja mama. Spałem w tym samym łóżku tylko z drugiej strony, zeskoczyłem obiegłem łóżko dookoła stanąłem i patrzyłem, co się dzieje? Dlaczego tata wymiotuje krwią? Zacząłem zadawać pytania, ale było to chyba dla nich kłopotliwe, bo mama rozkazała abym wybiegł do spania. Następnego dnia po przebudzeniu zauważyłem, że jestem w łóżku sam, a i w pokoju nikogo nie było, nie byłem tym zaskoczony, bo wczorajszego incydentu jakoś nie pamiętałem a to, że jestem sam to normalna w naszym domu. Zsunąłem się na podłogę, podszedłem do drzwi, duże bez żadnej szybki, całe drewniane pomalowane białym lakierem, lakier był już stary i pożółknięty od dymu z papierosów, klamka była według mnie za wysoko, albo ja byłem za mały, w każdym razie musiałem stawać na palcach żeby pociągnąć za klamkę. Otwarłem wreszcie te drzwi, stanąłem w przedpokoju, był to długi przedpokój na końcu, którego było wyjście na klatkę schodową, w połowie była łazienka, po prawej stronie kuchnia, a po lewej duży pokój. Był to rzeczywiście duży pokój, były tam dwa okna, jedno wychodzące na ulicę a drugie na plac szkolny, na którym było boisko. W pokoju stał duży okrągły stół, za którym zawsze jak sięgnę pamięcią siedział mój dziadek i czytał bardzo grube książki. Dziadek, krępy niski wąsaty facet, był kiedyś komendantem milicji w Kielcach, kiedy go wyrzucili za pijaństwo przyjechał na Śląsk i jakiś czas pracował w kopalni, potem załatwił sobie

rentę no i siedział, czytał, przed nim stała wielka okrągła popielnica, bo palił dużo papierosów „sport” tak nazywały się wtedy najtańsze papierosy. Były tam jeszcze dwa duże tapczany do spania, na jednym z nich siedziała moja babcia obok stał taboret, na którym też leżała duża popielnica, bo babcia również paliła najtańsze papierosy, ale nie czytała, siedziała paliła i myślała cholera wie o czym? Jak babcia przestawała myśleć, a dziadek przestawał czytać to wtedy głośno się kłócili i wyzywali. Drugi tapczan prawie zawsze był zaścielony, przykryty jakąś kolorową narzutą a na środku siedziała duża ubrana lalka. Lalka była mojej wielkości, pamiętam jak kiedyś ciotka Ewa przebrała mnie w ubranie tej lalki, zawiązała mi kokardki we włosach, bo wtedy miałem długie lekko kręcone blond włosy, umalowała mi usta i jak dzwonił dzwonek do drzwi wysyłała mnie żeby otworzyć, nikt wtedy mnie nie poznawał i mieli z tego wielki ubaw. Ja osobiście bardzo lubiłem tą lalkę, nie to żebym się nią bawił, nic z tych rzeczy mnie interesowało coś innego. Ja rozbierałem tą lalkę do naga i główkowałem nad tym, dlaczego ona tam nic nie ma? Nurtowało mnie to do tego stopnia, że potrafiłem do innej ciotki powiedzieć żeby zdjęła majtki, bo chcę zobaczyć czy też ma tak jak lalka. Wracając do tamtego dnia, podszedłem do babci, bo z dziadkiem to raczej nie przypominam sobie rozmów i zapytałem; babcia, a gdzie jest tata? Nie ma – odpowiedziała, a mama gdzie jest? Poszła z tatą do szpitala – usłyszałem w kolejnej odpowiedzi, no to babcia zrób mi jeść, babcia zgasiła papierosa wstała i poszła do kuchni, pobiegłem za nią zobaczyć, co mi robi do jedzenia, ukroiła grubą kromkę chleba, posypała obficie cukrem, takim jak słodzi się herbatę, podeszła do kranu odkręciła lekko wodę tak żeby kropla po kropli kolejno zakroplić powoli cały cukier na chlebie potem podała mi „kanapkę” masz dziecko, jedz. Do tego jeszcze blaszany pół litrowy garnuszek herbaty i na pół dnia mieli ze mną spokój. Ale nie tym razem, tym razem utknęło mi w myślach słowo „szpital”, więc zacząłem, babciu – a po co mama i tata poszli do - - - szpitala? Babcia zaczęła mi opowiadać, i tak naprawdę to, co mi wtedy opowiedziała dotarło do mnie dopiero chyba po kilkunastu latach!

Tata przyszedł z pracy „wypity” przyniósł ze sobą w blaszanej bańce kwas solny, który był mu potrzebny do lutowania czegoś tam, przelał potem ten kwas do butelki po winie i skrzętnie ukrył przed wszystkimi, bo kwasem można się poparzyć. W nocy, gdy się przebudził chciało mu się bardzo pić, znalazł butelkę z wina z zawartością jakiegoś płynu, był jeszcze zamroczony wypitym wcześniej alkoholem, więc bez namysłu przechylił butelkę i zrobił porządnego łyka, gdy zorientował się, że to kwas solny który wcześniej przyniósł do domu, było już za późno, przepił to obficie wodą i położył się spać sądząc, że nic mu nie będzie. W szpitalu przeleżał kilka miesięcy, zrobili mu operację krtani, ale niestety pokarm musiał przyjmować przez gumową rurkę, którą miał wstawioną bezpośrednio do żołądka i przyklejoną plastrem na klatce piersiowej. Pamiętam jak mama przez lejek wlewała mu tam jakąś zupkę, ale głosu taty już nie pamiętam. Tata ze względu na komplikacje krtani i żołądka często wracał leżeć do szpitala, mama wtedy miała pełny luz, robiła co jej się podobało a zapewniam was, że mojej mamie podobało się wszystko to, co normalnym ludziom się nie podoba. Zabierała mnie na spacerunki Np. pod budkę z piwem, wtedy takie budki, kioski z piwem były częstą „ozdobą” osiedli, ta akurat nazywała się „u żyda”, bo właścicielem był prawdziwy żyd. Potrafiła pod taką budką spędzić naprawdę dużo czasu, a dla mnie to też była duża atrakcja, miałem dużo kapsli z butelek, które jedną po drugiej otwierali mama, jej koledzy i koleżanki. Tymi kapslami grałem na ulicy w „kapsle” tak nazywała się gra, na ulicy rysowało się kamieniem trasę i pstrykało się po tej trasie kapsle, jeżeli któryś wypadł na zakręcie poza linię musiał wrócić na start. Wyobraźcie sobie, że koledzy mojej mamy przegrywali ze mną! Byłem naprawdę mistrzem! W czym tkwiła tajemnica mojego sukcesu? – Bo tylko ja byłem trzeźwy.

Innym miejscem była „barania łączka” myślę, że nazwa wzięła się od osób, które były tam zapraszane. Była to ładna zielona polanka umiejscowiona przy samej rzece Brynicy, w pobliżu był mostek, po którym wracali z roboty górnicy, oni zawsze mieli pieniądze, zaproszenie kogoś na zieloną trawkę w piękną pogodę nie sprawiało mojej mamie żadnego problemu. Na taki spacer zabierała mnie 15-tego dnia miesiąca lub kolejnych następujących po tej dacie. 15-ty był dzień wypłaty w większości zakładów pracy i kopalń. Najlepiej zaprosić dwóch kolesi nieznanym, oni kupowali mocny alkohol a dla mamy na „poczęstunek” dobre wytrawne wino, po sugestiach mojej mamy jeden z nich już za chwilę leciał do sklepu po słodycze, czasami i zabawki dla mnie abym się nie nudził. W takim miejscu w biały dzień, blisko uczęszczanego przez ludzi mostu nic nam nie groziło. Kolesie podlewali jeden drugiemu coraz to więcej alkoholu żeby wyeliminować rywala i zostać sam na sam z moją mamą. Mama w tym czasie opracowywała strategię, obserwowała ich i delektowała się powoli wytrawnym trunkiem. Mijały godziny, w czasie, kiedy jeden z nich już spał zmożony przez wypitą dużą ilość alkoholu, padała propozycja: słuchaj, ja mieszkam sama z synkiem, możemy iść do mnie tylko że u nas w domu nie ma grama alkoholu idź kup coś dobrego dla nas ja wezmę synka i spotkamy się trzysta metrów stąd na ul. Bytomskiej – chodźmy razem, bełkotał pijany koleś. Razem? zapytała mama, z małym synem do sklepu po alkohol? ty chyba zgłupiałeś – mama uśmiechała się a koleś po oślinieniu i próby całowania jej w rękę pobiegł szczęśliwy do sklepu. Moja mama w tym czasie zaopiekowała się śpiącym kolegą, Czekaj synku ja tylko wezmę od tego pana portfel i zegarek żeby mu nikt nie ukradł, po zabezpieczeniu jego dóbr poszliśmy przez mostek, przez park, na przystanek i autobusem pojechaliliśmy na drugi koniec miasta, do domu.

Bardzo lubiłem chodzić z mamą i babcią na rynek tego miasteczka. Był to stary rynek, ulice były wyłożone kamieniami brukowymi tzw. kocie łby. Zawsze tam stał tramwaj, stary czerwony z jednym reflektorem na środku, wyglądało to tak jak gdyby miał jedno oko, stał dlatego bo w tym miejscu miał mijankę i żeby mógł odjechać musiał czekać aż przyjedzie drugi, wyminą się w tym miejscu i dalej pojedzie jednym torem. Była tutaj też budka, ale nie z piwem – w tej budce pani sprzedawała lody i takie fajne żelowe myszki czerwone, to nie były takie żelki jak teraz... tamte były miękkie i po rozgryzieniu rozplływały się w ustach. Na rynku był też kościół, bardzo duży, ogromny, bardzo byłem ciekawy jak jest w środku. Mama opowiadała mi że tam mieszka bozia i ludzie tam chodzą się modlić po to żeby bozia im coś dała, bo jak ktoś jest dobry to zawsze coś dostanie. No i masz, sama chyba nie wiedziała co tymi słowami sprawiła. Uparłem się żeby mnie tam zaprowadziły bo ja jestem dobry i grzeczny, rozbeczałem się tak że musiały mnie zaprowadzić do kościoła. Weszliśmy do środka, było pusto, wiało chłodem, ogromny gmach rozglądałem się dookoła, patrzyłem do góry, podobały mi się kolorowe szybki w wielkich wąskich ale wysokich oknach. Mamusiu – zapytałem, a czy bozia coś nam da? No pewnie że da – odparła mama i razem z babcią zaczęły się śmiać. Podeszły gdzieś tam do przodu, mama wzięła duży, taki zielony kwiat w dużej donicy, a babcia wzięła trochę mniejszy i szybciotko kazały mi uciekać bo bozia się rozmyśli. W ten oto sposób spodobał mi się kościół no i chyba wtedy polubiłem bozię.

Pewnego dnia tata wyszedł ze szpitala na dłużej, dostał dosyć wysoką rentę, bo wcześniej pracował w kopalni. Pamiętam, że załatwił mieszkanie w dzielnicy „Piaski” pokój z kuchnią na pierwszym piętrze starego cztero-rodzinnego domu. Dorabiał jako malarz, bo tata był dobrym i cenionym malarzem, oczywiście malarzem pomieszczeń nie obrazów. Miałem wtedy jeszcze o cztery lata starszego brata, ale on został u babci, bo tam chodził do szkoły.

Brata w tamtym czasie nie pamiętam za bardzo, bo on miał kolegów i nie bawił się ze mna, i zawsze gdzieś się włóczył. W nowym domu mieszkaliśmy we trójkę, tata, mama no i ja. Obok naszego

domu przebiegała ulica, był tam duży ruch ciężkich i wielkich ciężarówek marki „Tatra”, które kursowały z kopalni na pobliską hałdę wywożąc tam kamień, który był odpadem wydobytego na powierzchnię i odsortowanego węgla. Dostałem kiedyś od rodziców piękną wielką plastikową trąbkę, biegałem więc z taką trąbką i grałem ciągle na niej – przynajmniej mnie wydawało się że gram. Nikt nie doceniał mojego talentu bo gdziekolwiek się pojawiłem z trąbką to wszyscy mnie przeganiali. Grając na przeciwko pod domem, postanowiłem przebiec ulicę i grać na naszym podwórku – nagle pisk opon, wielka ciężarówka z dużym ryjem walnęła prosto we mnie, znalazłem się pod spodem tego bydlaka, ale na czworakach wyleciałem spod niej i biegłem przed siebie prosto do drzwi naszego budynku, przebiegając przez ciemny korytarz wybiegłem drugimi drzwiami które prowadziły na duże podwórko, miało może 30 metrów długości, na końcu podwórka był rząd komórek – to takie schowki na węgiel, ziemniaki i inne szpargały, wcisnąłem się pomiędzy komórki a mur, który był wokół podwórka, w ręku cały czas mocno trzymałem trąbkę. Stałem wreszcie bo już nawet nie miał bym sił biec, stałem jak zdrętwiały z czoła lała mi się krew, z rąk, łokci, i kolan również, coś gorącego czułem w spodniach, krew? nie po prostu się zsikałem, ale mocno zacisnąłem zęby aby nie płakać – nie płakałem. Cisza, słyszałem tylko łomot swojego serca, nie wiem jak długo stałem tak bez ruchu. Kiedy już się uspokoiłem, spojrzałem na trąbkę, wtedy dopiero zacząłem płakać – trąbka rozbita. - Nigdy już nie miałem takiej trąbki.

Kierowca ciężarówki wysiadł dopiero po kilku minutach, podobno był błydy i cały się trząsał, widział ludzi którzy wychodzą z domów i idą w jego kierunku, nie miał odwagi zajrzeć pod ciężarówkę, nagle jakaś kobieta krzyknęła, to był ten mały z trąbką! Tam uciekł, tam!

Przyszło piękne upalne lato 1970 roku, z początkiem tego lata wyjechaliśmy wszyscy na wieś, mama tata mój starszy brat no i ja. Wieś w dawnym województwie kieleckim, Szczaworyż był położony w pięknym malowniczym pagórkowatym terenie, była to rodzinna wioska mojego taty i mieszkali tam jego rodzice, czyli moja druga babcia i dziadek. Mieszkali w małym domku z zielo-

nym gankiem od południowej strony, na którym wiły się pnącza dzikiego winogronu, właśnie wtedy rozkwitał bujną zielenią. Do ganku który był oszklony małymi szybkami wchodziło się po cementowych schodkach które zresztą mój tata sam kiedyś zrobił, bo wcześniej to wchodziło się po desce z przybitymi co kawałek listewkami. Przez ganek było wejście do naszego pokoju, który był dosyć przytulny. Stał tam taki kredens pokojowy z barkiem, dwa zielone fotele, tapczan, wersalka, i był tam nowy zielony dywan. Z boku domu też było wejście, ale tamtędy wchodziło się do dziadka i babci. Będąc na wsi tata miał wypoczywać, ale że wszyscy tam go znali to prosili żeby malował u nich w domach. Pamiętam jak kiedyś zabrał mnie z sobą to widziałem jak malował, miał wycięte z kartonu różne wzorki które przykładał do ściany, potem taką specjalną pompką rozpylał farbę i na ścianie wychodziło po prostu dzieło sztuki. Któregoś dnia tata znowu u kogoś malował, brat pojechał z dziadkiem uczyć się pracy w polu, mama opalała się na podwórku siedząc na fotelu wyniesionym z naszego pokoju, a ja z kijkiem w rękę „tresowałem” kota którego jakoś nie bardzo lubiłem. Kiedy słońce już przestawało przypiekać, moja mama ładnie się ubrała, chyba to była taka ciemno niebieska suknia sięgająca do kolan, kremowe buty na wysokim obcasie, opalona, pomalowała usta szminką i powiedziała że idziemy szukać taty bo długo nie wraca. Spojrzała na mnie zdziwionym wzrokiem i dopiero teraz zauważyła że ja w taki upał mam na nogach gumiaczki, - zdejmuj szybko te gumiaczki i włoż tenisówki, powiedziała spokojnym głosem, – nie, nie zdejmę – odparłem płaczącym głosem, wiedziała że nie ma sensu mnie przekonywać. Gumiaczki były kupione dopiero trzy dni temu, a jak miałem coś nowego to nie rozstawałem się z tym, dodam tylko że w dniu zakupu owych gumiaczków nie zdjąłem ich nawet do spania, tak że chyba mnie rozumiecie.

Od naszego domu do głównej asfaltowej trasy trzeba było przejść około 150 metrów kamienistą drogą, na której to mama potykała się w swoich bucikach na wysokim obcasie, doszliśmy do asfaltu, nie było wtedy telefonów komórkowych żeby skontaktować się z tatą, zresztą wtedy jeszcze na wsi nikt nie miał nawet stacjonarnego, był tylko chyba na poczcie. W oddali na górcie było widać za-



bytkowy kościół z XVI wieku, więc wystarczyło iść cały czas w stronę tego kościoła, aby dojść do centrum wsi. Była tam szkoła podstawowa, poczta, na wprost w dole było stare źródło, zabudowane kamienno-betonową piwnicą, która wyglądem przypominała jakiś bunkier, wystawał tam kawał żeliwnej uszczerbionej rury, z której zawsze mocnym strumieniem lała się czysta, zimna woda, zaraz obok był staw, w którym organista kościelny hodował ryby. Powyżej była mleczarnia, do której rolnicy sprzedawali mleko, sklep, no i gospoda, – jak się okazało cel naszego spaceru. Weszliśmy do środka, było zakopcone dymem z papierosów, po lewej stronie stała długa lada, na ścianie za ladą były półki, na jednych stały butelki z winem, wódką, piwem, oranżadą, a na kilku półkach były sterty cukierków wysypanych, luzem. Po prawej kilka stolików, przy których siedzieli chłopcy ze wsi, pili, jedli śledzie i gapili się na mamę. Jednak rozmowy prowadzili najpierw ze mną, pytali jak się nazywam, jak mama ma na imię. Te cukierki na półkach nie dawały mi spokoju, powiedziałem, że wszystko powiem jak dadzą mi cukierki, dostałem mnóstwo cukierków. Ale po tych słodyczach mi się język rozwiązał – mówiłem wszystko, o co tylko pytali. Posadzili mnie przy stoliku, kupili jeszcze czekoladę, oranżadę, – oj, dobrze mi się tam siedziało. Wracaliśmy do domu, było już ciemno, szliśmy niby na skróty – przez jakieś łąki, ścieżką, wąską polną drogą gdzie po obu stronach a miejscami tylko po jednej, rosły nie wysokie, ale rozłożyste wierzby. Pamiętam, że szedł z nami jakiś pan Romek, słyszałem jak mama tak do niego się zwracała, szli przede mną obejmując i podtrzymując się na wzajem, co chwilę zatrzymywali się, to ja wtedy w nich uderzałem głową, bo szedłem tuż za nimi, wpatrując się w jasne buty mamy, tylko tyle mogłem dojrzeć w ciemnościach. Bardzo długo wracaliśmy do domu, wszystko przez pana Romka, bo ciągle mamę zatrzymywał, coś tam rozmawiali, śmiali się i popijali piwo, które wzięli na drogę. Pamiętam, że bardzo chciało mi się pić, pewno po słodyczach których za dużo się najadłem, co parę kroków powtarzałem płaczliwym głosem – piiiic... Całe szczęście że dorośli zawsze wiedzą jak zaradzić w każdej sytuacji, zatrzymaliśmy się na chwilę, mama podała mi otwartą butelkę z piwem – masz, napij się łyeczka, po-

wiedziała, nabrałem troszkę do buzi, plując mówiłem jakie to gorzkie i niedobre, jednak pragnienie było mocniejsze od goryczy, Po kilku minutach, oddając pustą butelkę mamie powiedziałem zadowolony – jeszcze chcę! Podali mi kolejną butelkę, piłem, piłem, pi... – dalej nie pamiętam, i jak znalazłem się w domu???

To było pierwsze moje pijaństwo. zaczęła wracać mi świadomość, siedziałem na fotelu, tata poił mnie herbatą z cytryną. Pamiętam kabel od żelazka, bo dawniej były takie żelazka z odłączanym osobnym kablem, tata wyjął kabel, ściskając go mocno w dłoni, patrzył wściekłym wzrokiem na mamę, do dziś pamiętam to spojrzenie. Bił mamę, bił bardzo mocno, po całym ciele, twarzy, głowie, wszędzie, słyszałem głośne krzyki i płacz mamy. Do pokoju wszedł dziadek, krzyczałem – dziadek obroń mamę! dziadek w milczeniu chwycił mnie za rękę i szarpnął za sobą do ganku, na zewnątrz, do mieszkania dziadka i babci, tam położyli mnie spać.

Po kilku dniach wszystko wróciło do normy, opuściliśmy Szczaworyż i znowu byliśmy w naszym mieszkaniu w Czeladzi – Piaszkach.

Była połowa lata, stan zdrowia mojego taty pogarszał się z dnia na dzień, widziałem jego zmarszczone czoło, to pewno z bólu jaki przeżywał, męczył się tak kilka dni, potem zabrało go pogotowie, został w szpitalu. Pewnego dnia pojechałem z mamą na odwiedzinę taty w szpitalu, usiadłem na okrągłym obrotowym białym stołku, kręcąc nim co chwilę to w górę to w dół, nic to jednak nie pomagało, i tak nie mogłem dosięgnąć nogami do podłogi, nagle moją uwagę zwróciło zachowanie mamy. Zapaliła zapałkę i przesuwając przed oczami taty, w prawo, w lewo, pytała czy coś widzi, tata pokręcił tylko lekko przecząco głową, stracił wzrok. Mama głaskała go po głowie mówiąc, – za pół roku urodzę dziecko, musisz go widzieć – tata tylko się uśmiechnął. Minął miesiąc, dokładnie ósmego sierpnia 1970 roku w nocy tata zmarł.

Pamiętam dzień pogrzebu, przyjechał wtedy młodszy brat taty, który był kierownikiem w jednym z zakładów w Busku-Zdroju, przyjechali z kierowcą służbową „nysą” przywieźli rodzinę ze Szczaworyża i drugą trumnę. Planowali zabrać zwłoki taty do tej trumny i tym autem wrócić na wieś aby tam pochować tatę. Porą-

banu rodzinka! Kłócili się oczywiście w kostnicy podczas rozpoczęcia pogrzebu, – był duży chaos, nawet nikt nie zauważył że ten „ich” kierowca wygonił mnie z kostnicy, do dziś tego nie rozumiem dlaczego, czy myślał że jestem jakimś obcym dzieckiem? Czy nie myślał bo był chamem?

Cały czas zachowywałem opanowanie, aż sam się dziwię, miałem zaledwie sześć lat. obserwowałem, rozglądałem się, widziałem uśmieški ludzi. Opanowanie straciłem dopiero wtedy, gdy z pogrzebem zaszliśmy na cmentarz, ujrzałem opuszczoną do grobu trumnę, zaczęli ją przysypywać ziemią, – wtedy zaczęła się moja wielka rozpacz.

Mieszkanie nasze zostało puste, my wróciliśmy z mamą i starszym bratem mieszkać do dziadków w Czeladzi,

Był piękny, śnieżny zimowy poranek, gdy pod nasz blok podjechało „taxi” biała limuzyna marki „warszawa” babcia powoli wsadziła moją mamę do taksówki i pojechały do szpitala. Po tygodniu mama wróciła do domu, ale nie sama... okazało się że mam jeszcze młodszego brata, urodził się jako wcześniak, po siedmiu miesiącach. Leżał na środku pościeli w małym pokoju, – było ciepło, cicho, czysto i przytulnie, ja zająłem się dzieleniem zabawek, te które mi się nie podobały, albo były uszkodzone, odkładałem dla niego, a te lepsze zostawiałem sobie. Miałem autko „karetka” która napędzana ręcznie po podłodze w ciemności błyskała niebieskim światłem, tego nawet nie wyjmowałem, bo obawiałem się że będzie chciał. Nagle niespodziewanie mama zapytała, – jak chciałbyś dać na imię braciszкови? No to mnie zaszczyt „kopnął”, poczułem się wtedy bardzo ważnym, – muszę się zastanowić, odpowiem wieczorem, Mamę to rozbawiło, wszystkim opowiadała że muszą czekać do wieczora. Jednak nie wytrzymałem do wieczora, byłem bardzo przejęty, – przez myśli przewinęły mi się chyba wszystkie imiona jakie znałem, a znałem ich trochę, pięć, – lub sześć. Leszek? powiedziałem, lub bardziej zapytałem. Dobrze będzie miał na imię Leszek, – odparła, śmiejąc się przy tym mama.